

W niektórych rejonach boiska przeradzała się w klasyczny pressing. Nie podjęliśmy walki. Trener Guy Thys nie ukrywał zadowolenia: – „Po tym, co zobaczyłem w Malmoe, moja wiara w zwycięstwo nad Polską w Chorzowie jest coraz większa. Sięgnijemy tam po tę samą broń, która dziś przyniosła sukces Szwedom”.

Na zgrupowanie w Wiśle przyjechali Józef Młynarczyk i Zbigniew Boniek. Piechniczek mógł więc wrócić do koncepcji składu z Tirany. Ostatecznie dokonał jednej zmiany – w pomocy Andrzeja Buncola zastąpił Ryszard Komornicki. Siła ognia naszego zespołu jednak wciąż była nikła. Duet Boniek – Smolarek ani razu nie przebił się przez belgijską strefę. Puste bramki do końca meczu. Belgowie zawiedzeni, bo Polacy utrzymali pierwsze miejsce w tabeli. Oto właśnie chodziło! Ten jeden punkt zapewnił nam udział w finałach mistrzostw świata. Widownia właściwie to oceniła, odśpiewała „sto lat”, a trener Antoni Piechniczek i główny bohater tego meczu Józef Młynarczyk powędrowali do szatni na ramionach przyjaciół. Radość większa niż poziom gry. Trudna jest droga powrotu na mundialowe boiska!...

Dokładnie 19 września 1985 roku agencje światowe nadały wstrząsającą wiadomość: **Mexico City w gruzach!** Nienotowanych dotychczas rozmiarów trzęsienie ziemi nawiedziło stolicę Meksyku. Całe ulice legły w gruzach. Tysiące zabitych, setki tysięcy ludzi bez dachu nad głową. Tu mistrzostw świata nie będzie! Na szczęście te kasandryczne wróżby się nie potwierdziły. Działacze Federacion Mexicana de Futbol Asociacion i Komitetu Organizacyjnego Mundialu dokonali błyskawicznego przeglądu stadionów i stanowczo orzekli: – „**Nie oddamy nikomu tych mistrzostw świata**”. Meksyk miał stadiony gotowe. Czekają tylko na finalistów. Świat przyszedł Meksykanom z pomocą, także Polacy. W PZPN–ie się nie przelewało, mimo to na rzecz ofiar trzęsienia ziemi przeznaczono cały dochód z towarzyskiego meczu Polska – Włochy.

Italia – to mistrz świata Espana '82. Graliśmy tam z Włochami dwa razy – w Vigo i Barcelonie. Bez powodzenia. Również w Peszarze Włosi byli lepsi. Teraz nasi piłkarze, zgodnie z zasadą „bij mistrza”, zmobilizowali się na ten pojedynek jak rzadko kiedy. Była już połowa listopada, zima przyszła wcześniej niż zazwyczaj, śnieg i mróz nie sprzyjały widowisku, ale „biało-czerwoni” zagrali w Chorzowie rozważnie i z zębem. Rzadko dotychczas chwalony Dariusz Dziekanowski zaprezentował się wreszcie na miarę swojego talentu i już w 6 minucie gry zdobył zwycięską bramkę. Po tej wiktorii odwiedził naszą redakcję prezes PZPN Edward Brzostowski i kokieteryjnie zapytał: „Kogo „Piłka Nożna” ogłosi piłkarzem roku?”. Wątpliwości nie było, osiągnięcia sezonu 1985 przemawiały właśnie za Dziekanowskim. Zasłużył na to dobrą grą w Widzewie, Legii i reprezentacji. Gość z centrali przyjął to z uznaniem.

Rywalizacja w naszej lidze była bardziej wyrównana niż w poprzednim sezonie, mecze atrakcyjniejsze i na nieco wyższym poziomie. Jednak była to poprawa dostrzegalna tylko na krajowym podwórku. Z europejskich rozgrywek pucharowych już w pierwszej rundzie odpadły: Górnik Zabrze, Widzew Łódź i Lech Poznań. Dalej poszła tylko Legia, eliminując kolejno norweski „Viking” Stavanger i węgierski „Videoton” Szekesfehervar. Dopiero w trzeciej rundzie Pucharu UEFA, po dwóch bezbramkowych remisach, w dogrywce uległa Interowi. Oba te pojedynki, w Mediolanie i Warszawie były widowiskowe, zacięte, o dużych walorach sportowych. Potwierdziły wciąż spore rezerwy, tkwiące w jedenastej Legii i międzynarodową klasę Dariusza Dziekanowskiego. W lidze brylował jednak Górnik, co kibice Legii przyjęli z rozpaczą:

Słuchaj Jezus, jak Cię błaga lud.

Słuchaj, słuchaj uczyń z Legią cud!

My czekamy już piętnaście lat,

Jezus, pociesz nas!

W latach osiemdziesiątych bogowie pocieszali jednak inne kluby: Widzew Łódź, Lecha Poznań i Górnika Zabrze. Na arenie międzynarodowej los im nie sprzyjał. Honoru naszej ligi najdłużej broniła Legia. Z norweską drużyną „Vikingiem” Stavanger przyleciał do Warszawy Kare Torgrimsen dziennikarz o dobroci i tuszy Świętego Mikołaja. Przytaszczył do redakcji ogromnej wielkości torbę, a w niej moc prezentów wtedy u nas dostępnych (i to nie zawsze) tylko w PEWEX-ie. Rozpuszczalna kawa „Nesca”, herbata „Lipton”, w puszkach smaczne paszteciki, konserwy rybne, środki czystości i wykwintne alkohole. Rozłożyłem te delikatesy na swoim biurku. Oczy na wierzch wychodziły z wrażenia. Tak żyje Europa! Przywołałem redakcyjną załogę i rozdzieliłem mikołajkowe dary. Rewanż za ten bezinteresowny gest Norwega spoczął na mojej głowie. Ufetowałem go „Żytnią” z Pewexu oraz domowym bigosem i ruskimi pierogami. Za kołnierz nie wylewał, zachował się jak prawdziwy Wiking.

Samarytanin ze Stavanger nieco rozjaśnił szarość naszego codziennego bytowania i pobudził wyobraźnię. Pokazał cząstkę innego świata. Czy my dożyjemy takich czasów? Kiedy opowiedziałem Gieniowi Warmińskiemu o tym przyjaznym gościu Kare Torgrimsena, nie był zdziwiony. Podobnych dowodów sympatii i solidarności kolegów dziennikarzy z zagranicy było wówczas znacznie więcej.

– Juruś! Mnie już w grudniu 1981 roku przysyłano paczki z prowiantem, nawet z Rosji...

– Mówisz poważnie?...

– No, Juruś, bój ty się Boga, jak mógłbym cię bujać?! Delikatesów tam nie było, skromniutko, ale się przydało...

– To ruscy też wiedzieli, że u nas prawie wszystko jest na kartki?

– Nie mam pojęcia, ale Borys Świetłanow z „Sowieckiego Sportu” musiał wiedzieć, że w naszych sklepach półki są puste. Jego koledzy też nas dokarmiali. Pierwszą paczkę wysłali tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

– I doszła na czas?

– Na Sylwestra! Miałem cukier, herbatę gruzińską i kaszę manną... Wszystko w jednym worku, pomieszane, taki misz-masz, rozumisz. Czujni byli celnicy, torby porozrywali...

– I nie wyrzuciłeś tego „koktajlu” do kosza?

– Jakbym śmiał?! Jadzia, to znaczy moja żona, przez kilka godzin filtrowała to wszystko przez sitko. Najpierw wyłowiła herbatę, potem cukier, a na końcu kaszę manną. Nic się nie zmarnowało...

Do Poznania na mecz Lecha z Borussią wybrałem się w towarzystwie Stefana Szczepłaka, Pawła Smacznego i Darka Górskiego. Pod Kutnem przez moment wydawało się, że te lepsze czasy na zawsze nam uciekną. Sporej wielkości kamień doszczętnie rozbił frontową szybę „Fiata” i przeleciał obok mojego prawego ucha. Odebrało nam mowę, w aucie martwa cisza. W każdej szczelinie pełno szkła, tak szybę zmiażdżył pęd powietrza i ten przeklęty kamień. Szklany pył osiadł mi nawet na rzęsach. W kieszonce marynarki wyrosła butonierka z rozproszonych kryształków. Kierowca Andrzej Cieślik przywykły do takich niespodzianek, przytomnie zatrzymał pojazd. Ekipa nadal jak zahipnotyzowana. Z odrętwienia wyrwała nas dopiero nadjeżdżająca wiejska furmanka. Wóznica warknął na konie „prrrr” i zwrócił się w naszym kierunku:

– Panowie, może kupicie cebuli? Świeżutka, wiozę prosto z pola... Niedrogo...

Przed chwilą omal nie wylądowaliśmy w rowie lub na drzewie, dusze mieliśmy na ramieniu, a tu taka zaskakująca propozycja. Paweł, w każdej sytuacji pozujący na gieroja, teraz również umiał się znaleźć:

– Chłopie – wypalił – czy nie widzisz, co się stało?!... Ale daj po jednej... na zagrychę. Musimy chlapnąć po łyku... Darek podaj flaszkę! Koleś chyba też łyknie...

Bez szyb, zmarznięci i w mękach, bo wiało i padało, dowlekliśmy się do Kutna. Długo szukaliśmy warsztatu samochodowego. Znalazła się nawet odpo-

wiednia szyba, ale z naprawą było już gorzej. Mechanikowi nigdzie się nie spieszyło. Szlag nas trafia, bo na mecz Lecha z Borussią już nie zdążymy. Na szczęście w firmie jest telefon. Dzwonimy do Poznania. Na Bułgarskiej, blisko stadionu Lecha, z obiadem czekała moja siostra Zofia ze szwagrem Aleksandrem. Opowiadam, co się stało. Olek typowy poznański pyra niegłupio zapytał: – *Nie mogliście przyjechać pociągiem?!... Teraz sąsiadów muszę zaprosić na kielicha... Mecz obejrzymy w telewizji...*

– A my – odpowiedziałem – zapewne w knajpie „U Wicka” w Sochaczewie. – Zadzwońcie do mojej żony!

Już w październiku 1985 roku gotowy był dość szczegółowy plan przygotowań do meksykańskiego Mundialu. Otwarcie rewelacyjne, na początek zwycięski mecz z Włochami w Chorzowie, potem sporo gier sparingowych, a na zakończenie tuż przed mistrzostwami, towarzyskie starcie z Danią w Kopenhadze. Wcześniej z Meksyku w dobrym nastroju wróciła delegacja PZPN z wiceprezesem Stanisławem Nowosielskim i selekcjonerem Antonim Piechniczkiem. Po powrocie do Warszawy meldowali: – „Rekonesans udany. Znamy miejsce naszego pobytu w Meksyku, stadiony i hotele. W Queretano zamieszkamy razem z ekipą RFN. Mecze rozgrywać będziemy głównie w Monterrey”. Z jakimi szansami tam polecimy?

Reprezentacja w składzie z 1985 roku dała sobie radę w eliminacjach, ale czy to wystarczy na Meksyk? Miarodajną odpowiedź na te pytania miał dać mecz z Danią. Wątpliwości było sporo, poza obsadą bramki, gdzie pewniakiem był Józef Młynarczyk. Najwięcej kłopotów sprawiała postawa napastników. Włodzimierz Smolarek i Zbigniew Boniek wyraźnie górowali nad konkurentami, jednak już nie mieli tej siły ognia co w Hiszpanii. Smolarek nie z własnej winy zgubił bojowość i szybkość, prześladowały go kontuzje. Tylko Boniek utrzymywał się na wysokiej fali. Zasadne stało się więc pytanie, kto będzie jego partnerem

w ataku. Kandydatów było kilku, między innymi Mirosław Okoński i Krzysztof Warzycha, ale żaden z nich nie miał jeszcze w sobie tego błysku, co „Smolar” w La Corunii i Barcelonie. To tylko klasa krajowa. Reprezentacja wymaga czegoś więcej niż ligowej poprawności.

Naszymi rywalami w „grupie Monterrey” będą: Anglia, Maroko i Portugalia. Wszyscy rywale w naszym zasięgu, wszak niegdyś już mieliśmy ich na rozkładzie. Miasto Monterrey, nazywane tu i ówdzie „piekłem Meksyku” ze względu na wysoką temperaturę, wilgotność powietrza, też jest nam znane, bo tam właśnie niezapomniani „chłopcy Górskiego” przed laty wygrali z reprezentacją Meksyku 2:1. Nie trzeba więc przed przeciwnikami i klimatem z góry robić w spodnie. Ciągle miałem w uszach przesłanie trenera Koncewicza: – *„Dobrze przygotowany piłkarz poradzi sobie w każdych warunkach”*... Forma podobno jest, ale czy wystarczy umiejętności?

Marzyła się gra „biało-czerwonych” na poziomie dwóch wygranych z niedawnej przeszłości, w 1973 roku z Anglią w Chorzowie i w 1976 z Portugalią w Porto. Tylko wtedy możnaby liczyć na sukces w Meksyku. Tymczasem generalna próba w meczu z Danią na Idraetsparken w Kopenhadze nie wypadła najlepiej. Największym mankamentem na kilkanaście dni przed odlotem do Meksyku był zastraszający brak skuteczności w akcjach ofensywnych. W porównaniu z wynikami 4:1 w Chorzowie i 2:1 w Kopenhadze w „erze Jacka Gmocha”, obecne 0:1 było wyraźnym krokiem wstecz. Grubo poniżej możliwości zagrali zwłaszcza: Buncol, Dziekanowski, Boniek, Matysik i Wójcicki. Dziekanowski – nie po raz pierwszy – potwierdził od dawna lansowaną przeze mnie opinię, że z racji swoistych cech psycho-fizycznych bardziej odpowiada mu gra w drugiej linii niż w napadzie. Możliwości i umiejętności większości naszych reprezentantów wciąż są dość duże, ale forma słaba, nie na miarę mistrzostw świata. Już zgubiona czy jeszcze nie uzyskana?

Tymczasem Antoni Piechniczek cały cykl przygotowań widział w znacznie jaśniejszych kolorach.

– Czy lista kadrowiczów jest ostateczna? – pytał go redakcyjny kolega.

– Tak.

– Gdyby miał pan do dyspozycji wszystkich polskich piłkarzy ery powojennej, kogo dziś powołałby do kadry?

– Szymkowiaka, Młynarczyka, Szymanowskiego, Oślizłę, Żmudę, Anczoka, Pohla, Lubańskiego, Brychczego, Deynę, Bońka, Latę, Cieślika, Woźniaka, Szarmacha i... dziesięciu innych.

– Którzy z Polaków mogliby aktualnie pretendować do jedenastki świata?

– Boniek, a wcześniej Deyna...

– Szanse Polaków w Meksyku?

– Zakwalifikujemy się do drugiej rundy.

– Które miejsce zajmie Polska?

– Czwarte.

– Czy będzie pan przygotowywał kadrę do mistrzostw Europy w 1988 roku?

– To zależy od wyników na Mundialu.

Reprezentacja jechała do Meksyku z nadzieją skutecznej walki o trzeci medal. Nie po naukę, co w sytuacjach niepewnych, trudnych z reguły jest swoim alibi, lecz z określonym celem sportowym: – **Trzeba znowu stanąć na podium!...** Ale samym pobrzękiwaniem szabelką niewiele się wskóra. O sukcesie w mistrzostwach świata decyduje nie tylko zwykła (arytmetyczna) suma wiedzy poszczególnych zawodników. Liczy się również ich doświadczenie, spryt, odwaga, umiejętność zaskoczenia rywali i entuzjazm w grze. Równie ważny jest warsztat i realizm trenera. Końcowy wynik osiąga się bowiem nie tyle poprzez dobre samopoczucie, ile w oparciu o rzetelną pracę oraz rozsądne i zgodne współdziałanie całej ekipy.

Zespół, który udał się do Meksyku, sposobiał się do decydującej rozgrywki w znacznie lepszych warunkach niż poprzedni przed startem w Hiszpanii. W ciągu czterech lat przez reprezentację przewinęło się blisko pięćdziesięciu zawodników. Jej ostateczny kształt mieliśmy poznać właśnie w towarzyskim meczu z Danią w Kopenhadze. Ale to jeszcze nie było to. Wybrańcy Piechniczka grali zbyt przejrzyście, szablonowo, statycznie. To się zemści w Meksyku! Młynarczyk, Majewski, Żmuda, Wójcicki, Boniek, Buncol, Matysik, Smolarek, Pałasz... To było dobre w Hiszpanii, teraz rywale nie dadzą się zaskoczyć. Naszą szansą w Meksyku są więc: Kubicki, Ostrowski, Urban, Dziekanowski, Tarasiewicz i... Furtok. Czy ją wykorzystają? Tak, jak w RFN Żmuda i Szarmach, w Argentynie – Boniek i Nawalka, a w Hiszpanii Buncol i Matysik! Teraz też potrzebne są nowe rozwiązania kadrowe i taktyczne.

Zaczęło się nijako od bezbramkowego remisu z Marokiem, a więc tak samo, jak w Hiszpanii w meczu z Włochami. Ale wtedy był to wynik w miarę dobry, uzyskany w walce z przyszłym mistrzem świata. Teraz niedosyt. Martwił przede wszystkim brak w drugiej linii rozgrywającego klasy Kazimierza Deyny lub Janusza Kupcewicza. Nie było też tytana pracy i łowcy goli na miarę Grzegorza Laty. Zastanawiałem się, jak trzeba zagrać z Wyspiarzami, by nie dopuścić do katastrofy. Ale moje „dobre rady” wyartykułowane w „Piłce Nożnej” w formie hasłowej: „nasza szansa w kontrataku”, „stoimy pod ścianą”, „lubimy ekstremalne sytuacje”, na nic się zdały! Przegraliśmy 0:3!

Poszliśmy jednak dalej. O awansie do drugiej rundy zadecydowała jedna jedyna bramka zdobyta w meczu z Portugalią. Piechniczek w porę przejrzał na oczy. Przed kluczowym meczem z Portugalią przełamał chorobliwe przywiązanie do niektórych graczy i „taktycznej sztampy”. Posadził Buncola na ławce rezerwowych, w zamian wprowadził do drugiej linii Dziekanowskiego. Dobry ruch. Drugi też, Bońka tak, jak w Hiszpanii przed meczem z Peru przesunął z pomocy

do napadu. W przodzie znowu hasał duet Boniek – Smolarek, a w środku pola rolę rozgrywającego przejął Dziekanowski. Wygraliśmy 1:0, a zwycięską bramkę, właśnie z podania „Dziekana” zdobył Smolarek.

Mistrzostwa w Meksyku oglądałem wyłącznie na szklanym ekranie. Wiedząc, że mam szansę na wycieczkę do Meksyku w towarzystwie sporej grupy działaczy PZPN, świadomie zrezygnowałem z wyjazdu służbowego na Mundial z puli RSW „Prasa”. Miałem dość złych doświadczeń z Hiszpanią '82. Dziadowskie diety, ryczałt na hotele najgorszego sortu, kłopoty z uzyskaniem połączeń telefonicznych, brak środków na lokalne przejazdy i pilne telefony. Oczy bolały, gdy Włosi, nawet Peruwiańczycy szastali forszą na lewo i prawo. Trzymałem sztamę z dziennikarzami włoskimi. Wozili mnie wynajętymi samochodami. Gdy przekazałem im coś ciekawego o rywalach z grupy, zatrzymywali się przy najbliższym słupie telegraficznym z telefonem i dzwoniли do redakcji. A ja często do białego rana czekałem na połączenie z Warszawą i Romkiem Hurkowskim. Miał z tego powodu kłopoty z milicją, ale w „pace” nie siedział.

Redakcję z dobrym skutkiem reprezentowali w Meksyku Stefan Grzegorzczak i Stefan Szczepłek. Natomiast ja, tu na miejscu, pisywałem dość obszerne komentarze, takie typowe „**Spojrzenie z kraju**”. Z wycieczki do Meksyku wyszły jednak nici: nie otrzymałem na to zgody Zarządu Głównego RSW „Prasa”. W efekcie zablokowano mi paszport. Pierwsze wrażenie z Mundialu korzystne dla Europy. Nadawała ton rozgrywkom. Piłkarskich bubli praktycznie nie było. Mecze: Dania – Szkocja, ZSRR – Francja, RFN – Urugwaj, Dania – Urugwaj i RFN – Szkocja były perełkami eliminacji. Brazylia na razie nieco w cieniu europejskich rywali. Głównie w oparciu o lepszą niż przed laty grę w defensywie, ciuła punkty i jest już w drugiej rundzie. Ale czy z taką grą Brazylia dorówna drużynom z Europy?

Wszystkie zespoły z półkuli zachodniej udoskonaliły grę w obronie, zresztą Argentyna i Urugwaj w przeciwieństwie do Brazylii zawsze były tu mocne. Europa również dobrze sobie z tym radzi. Sędziowie też nieźle się prezentują, są w miarę obiektywni i... odważni. Bronią zasad „fair play”. Sypią się jednak żółte i czerwone kartki. Gra niezgodna z przepisami, to jedna ze słabszych stron tych mistrzostw. Zbyt wiele drużyn chce tu wygrać za wszelką cenę. Powoli bledną na tym Mundialu niedawne gwiazdy. Piękno futbolu zapewne nie dozna z tego powodu uszczerbku, bo już pojawiają się nowe perełki i to w drużynach ze wszystkich kontynentów. Jest wśród nich również nasz Dariusz Dziekanowski. Źle się stało, że nie był już na poprzednim Mundialu w Hiszpanii.

Mistrzostwa w Meksyku były pełne niespodzianek. Campeon Argentyna, wicemistrzem Niemcy, trzecia Francja – to od wielu lat europejska i światowa czołówka. Ale tym razem liczone przede wszystkim na Brazylię, Danię, Anglię i zespół Związku Radzieckiego. Wszystkie znalazły się w cieniu medalistów. Z wielkich poprzedniego Mundialu, tu w Meksyku nic nie wskórały nawet Włochy, daleko od czołówki uplasowała się nasza reprezentacja, znowu zawiodła Szkocja. Belgowie też mieli duże ambicje, ale nie najlepszych wykonawców i nieco spaczoną wizję futbolu. Dla nich wynik był dużo ważniejszy, niż styl i piękno gry. Zgoła inaczej widział to Sepp Piontek, ale też nic nie wskórał. Przeszarżował z Danią w prezentacji futbolu widowiskowego, przesadnie ofensywnego. Natomiast Bobby Robson trener Anglii i Walery Łobanowski z ZSRR nie do końca wiedzieli, co lepsze – atak czy obrona?

Tylko Argentyna potrafiła zachować tu odpowiednie proporcje. Grała bardziej po europejsku niż drużyny z Europy. Niewątpliwa to zasługa futbolowej maestrii Maradony i w jakim takim stopniu jego „boskiej ręki” w meczu z Anglią, Passarelli, Burruchagi, Valdano i... klubów z naszego kontynentu. Tam właśnie

grając od lat, nic przy tym nie tracąc z „argentyńskiego” wyszkolenia technicznego i pomysłowości, nowi mistrzowie świata, nabyli wiele pożytecznych cech futbolu europejskiego, między innymi: twardości, konsekwencji w walce i wiedzy taktycznej. Na tle tak zdyscyplinowanego zespołu błyszczała gwiazda niekonwencjonalnie grającego Diego Maradony.

Dla naszej reprezentacji był to Mundial nieudany. Wykonała tylko plan minimum – przebiła się do drugiej tury, ale już pierwszy mecz o szczybel wyżej zakończył się kompletną klapą. W „piekle Monterrey” 0:3 z Anglią jeszcze nie przekreśliło szans, dopiero 0:4 z Brazylią w Guadalajarze rozwiało wszelkie nadzieje. Żegnaj Meksyku! Na tym Mundialu, niestety już bez naszego udziału, zarysowały się kontury „futbolu przyszłości”, a właściwie próby powrotu do najlepszych tradycji piłki nożnej. Danię z jej asami atutowymi Larsenem, Laudrupem i Lerbym porównywano do cudownej jedenastki Holandii z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych. Larsen przypominał artyzm Cruyffa, Laudrup szybkość Rensenbrinka, a Lerby zmysł taktyczny Johanna Neeskensa. Jednak Duńczycy grali nieco „po frajersku”, zbyt radośnie za co zbierali oklaski, ale mało skutecznie, by zagrozić najlepszym.

W pierwszej fazie turnieju godna podziwu i uznania była również postawa reprezentacji ZSRR, a w końcowej głównie Francji i Argentyny. To właśnie te zespoły najwyraźniej dały do zrozumienia, że współczesny futbol wcale nie musi być walką „boiskowych drwali”, lecz może i powinien być pokazem sportowego aryzmu. Stąd oklaski dla takich wybitnych indywidualności jak: Larsen, Biełanow, Platini, Maradona... W Meksyku w naszych barwach takich wirtuozów futbolu nie było. Autentycznego geniusza, jednego z tych, co od czasu do czasu Bóg zsyła na ziemię, pokazała Argentyna. Diego Armando Maradona praktycznie sam przesądził o wynikach meczów Argentyna – Anglia i Argentyna – Belgia. Dbał o interes drużyny.

Żywo przypominał Pelego z Mundialu w 1970 roku. Czy taki właśnie będzie futbol XXI wieku?

...Argentyńczycy – powiedział Cesar Luis Menotti – nie ograniczali się w Meksyku do neutralizowania poczynąń napastników rywali. Gdy tylko byli przy piłce, akcje rozgrywali umiejętnie i pomysłowo. Tworzyli widowisko. Anglicy mnie zawiedli. Popełnili ten sam błąd, co piłkarze Niemiec, kładąc zbyt duży nacisk na destrukcję i... przerywanie gry przeciwnika. Wyspiarze zupełnie nie wykorzystywali swoich dużych umiejętności techniczno-taktycznych i możliwości ofensywnych. Grali jednostronnie, zachowawczo, niezbyt twórczo, więc ulegli wszechstronnej i pomysłowej Argentynie. Anglia to jednak mocny zespół, żeby go pokonać trzeba naprawdę umieć dobrze grać w piłkę. Moi rodacy to potrafili. Są dobrym wzorem dla innych...

W „Ukrytej Zatoce” z Menottim rozmawiał również red. Stefan Grzegorzczak.

– Czy oglądał pan mecze Polaków?

– Oczywiście! Staram się widzieć wszystkie spotkania na Mundialu.

– Interesuje mnie opinia o grze polskiej drużyny...

– No cóż, na tych mistrzostwach świata Polska była po prostu słaba. Nie zaprezentowała wartości, jakich od niej oczekiwano.

– A co sądzi pan o Zbigniewie Bońku?

– O, to piłkarz bardzo dobry.

– Na tym Mundialu też?

– Tu, niestety – nie zagrał tak, jak potrafi...

Jak w tym świetle ocenić ostatnie lata pracy Antoniego Piechniczka z naszą reprezentacją? Postawił na szkolenie centralne. Była to jednak przykra konieczność, a nie „widzimi się”, bo w naszych klubach pracowano źle, nie na miarę potrzeb reprezentacji. Poza tym selekcjoner większość spotkań kontrolnych

i meczów międzypaństwowych z konieczności rozgrywał poza krajem. To przykre, bo nikt tego nie widział i nie kontrolował. Sporo wątpliwości budziło również szkolenie w okresie przygotowawczym. W styczniu i lutym najważniejsza jest praca w klubach, tzw. „ładowanie akumulatorów”, tymczasem w latach 1984 – 1986 nasza reprezentacja właśnie w tym czasie rozgrywała mecze głównie w Azji i Ameryce Południowej. Atrakcyjniejszych ofert nie było. Następstwa? Te zimowe wyprawy w pełni sezonu ujemnie odbijały się na rozgrywkach ligowych, także na poziomie i wynikach reprezentacji. Przed Mundialem w Meksyku braki w przygotowaniu fizycznym zawodników były aż nadto widoczne.

Zawiłości szkoleniowe Piechniczka potwierdzały jego złożoną osobowość. Skłonności do permanentnego eksperymentowania ścierały się z brakiem odwagi do zmian. Antek chciał być nowatorem, ale miał słabość do zawodników, z którymi już coś w życiu osiągnął. Stąd wiara, że trzon zespołu z Hiszpanii, osiągnie podobny wynik w Meksyku. Stąd też – mimo poszukiwań – dość wyraźny dystans do nowych twarzy Ryszarda Tarasiewicza, Jana Karasia, Dariusza Kubickiego, Dariusza Wdowczyka, Krzysztofa Barana, Jana Furtoka... A przecież młodzi, mało jeszcze znani w świecie piłkarze zawsze byli naszą nadzieją i siłą. Obce jest im kunktatorstwo i powielanie złych wzorów.

Niemalże po kibicowsku ocenili nasz występ w Meksyku oficjele z PZPN. Większość z nich była zadowolona zarówno z postawy jak i wyników drużyny. Brakiem szczęścia usiłowano tłumaczyć końcowe niepowodzenie. Obiektywnego spojrzenia zabrakło. W kraju dla odmiany niektóre opinie były przesadnie niesprawiedliwe. Jan Tomaszewski na przykład na łamach „Kurieria Polskiego” (nr 116 z dnia 17 czerwca 1986 roku), posługując się słownictwem z pogranicza świata przestępczego, uznał naszą przegraną w Meksyku za „jedną wielką kompromitację”. Zmartwiła też nieprawdziwa wypowiedź w „Expressie Wieczornym” Antoniego Piechniczka: – *„Mojemu następcy przekazuję młody zespół...”*. Gruba przesada.

MEKSYKAŃSKA TAKTYKA

Na łamach „Piłki Nożnej”, zaraz po uświęconym tradycją „Adios Mexico”, wspólnie z red. Mieczysławem Szymkowiakiem rozwinąłem temat „**Co nowego w taktyce?**”. Praktycznie każde mistrzostwa świata wzbogacają w tym względzie naszą wiedzę. W Meksyku tylko w taktyce gry bramkarza nie dostrzeżliśmy specjalnych nowości, musi umieć bronić rękami i nogami, niekiedy głową i w razie potrzeby być także „ostatnim obrońcą”. W tej sztuce najlepszy był Argentyńczyk Nory Pumpido. Obronę dość często wzmacniano trzecim stoperem nie tylko w celach typowo defensywnych. W zespole Argentyny (Batista), RFN (Eder), we Francji (Fernandez) byli również współtwórcami akcji ofensywnych i... strzelali gole! Wyzywali się też boczni obrońcy: Francuz Amoros, Brazylijczyk Josimar, Niemcy Berthold i Briegel, Argentyńczyk Olarticoechea. To byli autentyczni skrzydłowi! My takich piłkarzy nie mieliśmy.

W drugiej linii, zazwyczaj traktowanej jako jądro drużyny, dostrzeżliśmy dwa różniące się od siebie prądy. Pierwszy, częściej stosowany, zmierzał do zdobycia przewagi w środkowej strefie boiska. Kierowano tam najwybitniejszych i najbardziej doświadczonych zawodników umiejących dobrze rozegrać akcję i zakończyć ją skutecznym strzałem (Maradona, Platini, Ceulemans, Socrates, Zico, Matthaeus). Większość drużyn korzystała w tej formacji z usług napastników, tylko Duńczycy powierzali to zadanie jednemu z obrońców. Wszyscy ci „dodatkowi” pomocnicy aktywnie uczestniczyli w akcjach ofensywnych. W niektórych zespołach zdobywali nawet więcej goli niż napastnicy (Maradona, Ceulemans, Platini).

Nieliczne zespoły, głównie te słabsze, podejmowały próby omijania drugiej linii, stosując długie podania bezpośrednie z obrony do ataku. Niby to takie

proste i sztapowe, ale też wymagało odpowiednich wykonawców. Podać piłkę na odległość 40-50 metrów, potem dobrze ją przyjąć i nie pozwolić jej sobie odebrać, wreszcie celnie strzelić na bramkę – to też sztuka nielada. Z mocnych na tym Mundialu ów manewr najbardziej upodobali sobie Anglicy. W meczu z Polską często osamotniony Gary Lineker wykorzystał to bezlitośnie, ale już w pojedynku z Argentyną był bezradny. Jose Brown i Oscar Ruggeri nie dali się zaskoczyć.

Takich strzelców wyborowych jak Lineker na XII Mundialu było niewiele. Poza nim dobrze radzili sobie Hiszpan Butragueno, Brazylijczyk Careca, Niemiec Voeller (duże możliwości), pozostali wyraźnie im ustępowali. Nawet nominalni napastnicy Duńczyk Larsen i Rosjanin Biełanow wykonywali w swoich drużynach nieco inne zadania. Byli co najwyżej „fałszywymi skrzydłowymi”. Zanikała trzyosobowa formacja. Większość trenerów wystawiała w ataku dwóch zawodników (RFN, Francja, Dania), a po jednym: Argentyna (Valdano), Belgia, ZSRR i Polska (Smolarek). Klasycznych skrzydłowych, takich – jakimi niegdyś byli: Garrincha, Jairzinho, Lato, Gadocha, Rensenbrink, przywiązanych do flanki reprezentantów „uniwersalizmu ograniczonego”, nie było. Zastępowali ich głównie boczni obrońcy, ale także pomocnicy: Maradona, Burruchaga, Stopyra, Zawarow, Laudrup, Lerby, Barnes. To po ich precyzyjnych dośrodkowaniach padały piękne bramki. Czarowali jak niegdyś: „argentyński” Włoch Orsi, Anglik Matthews, Szwed Hamrin, Węgier Czibor, Hiszpan Gento, a na polskich boiskach Gerard Wodarz, Mieczysław Balcer i Walerj Kisieliński.

Następuje wzajemne przenikanie wartości europejskiej i południowoamerykańskiej piłki nożnej. Argentyńczycy przejęli od Europy zespołowy sposób gry, który dzięki perfekcji technicznej podnieśli do mistrzowskiego poziomu. Wspinała gra bez piłki, umiejętności wychodzenia na wolną pozycję, całe serie podań

bez stopnigu – to mogło się podobać i przyniosło konkretne efekty. Akcje ofensywne Francuzów i Duńczyków były równie pomysłowe, zaskakujące i oryginalne, ale nie tak skuteczne jak mistrzów świata. Nieco mniej do arsenału środków taktycznych wniosła Brazylia. Grała zbyt banalnie, za często wszereż boiska. Prostopadłe podania razily szablonem, były łatwe do rozszyfrowania. Niemcy, przy poprawnej technice, najwyraźniej imponowali dyscypliną taktyczną i konsekwencją w grze. To dało im finał na tym Mundialu.

Ogólny postęp w taktyce jest niewątpliwy. Współczesne wymogi w tej materii, zresztą zawsze tak było, są jednak nierozzerwalnie związane z wyszkoleniem technicznym i dużą wydolnością organizmu. Mundial w Argentynie potwierdził też starą tezę, że nie było, nie ma i nie będzie (chyba?!) idealnych systemów gry i genialnych rozwiązań taktycznych. To stale rodzi się na nowo i stale rozwija. Zaczynamy mówić i pisać o futbolu XXI wieku. Jaki będzie? Nadal główną rolę odegra tu taktyka, wsparta właśnie wysokim wyszkoleniem technicznym i doskonałą kondycją oraz niezbędnymi walorami psychicznymi. Wydaje się, że w Meksyku futbol wkroczył na właściwą drogę.

Nie były to jednak zmiany odkrywcze. Raczej sygnalizowały powrót do korzeni i przypominały niektóre stare prawdy: a) skuteczność naturalnych form szkolenia, b) prezentowanie w grze tego, czego piłkarz uczy się na treningu, inaczej mówiąc – „w grze tak – jak na treningu”, c) zachowanie równowagi w działaniach obronnych i ofensywnych, d) wierność zasadzie, że piłka nożna jest grą do dwóch bramek. Tymczasem w naszej lidze przeważa przekonanie, że najważniejsze jest bezpieczeństwo pod własną bramką. To zubaża tę piękną grę. Praprzyczyna? Zaniedbujemy wszechstronne i systematyczne szkolenie od podstaw. Naukę techniki traktujemy wybiórczo, kładąc nacisk na elementy najłatwiejsze do przyswojenia. To polityka zgubna, doraźna, na krótki dystans.

W Meksyku wyszło szydło z worka: w czterech meczach (z Marokiem, Portugalią, Anglią i Brazylią) Polacy zdobyli tylko jednego gola, a siedem stracili. Klops pod obiema bramkami. Nieudana droga powrotu do sławy. Po Weltmeisterschaft 1974 w „jedenastce świata” było aż trzech polskich piłkarzy (Deyna, Gadocha, Lato), po Mundialu 1986 nikt nie dostał tego zaszczytu. W Meksyku sześć goli zdobył Gary Lineker i to wystarczyło w rywalizacji o koronę króla strzelców. W RFN lepiej strzelał Grzegorz Lato, niewiele gorzej Andrzej Szarmach. Wspomnienia, wspomnienia... Sugerowano, że krępowało zawodników złe towarzystwo. Nie nowość to i kruche usprawiedliwienie. Być może zabrzmiało to nieskromnie, ale prawdą jest, że na kanwie naszych uwag o Mundialu w Meksyku zaprezentowanych na łamach „Piłki Nożnej” specjaliści obserwatorzy PZPN formułowali wnioski na obrady Rady Trenerów. Jeden z nich, swego czasu najlepszy w Polsce, z rozbijającą szczerością wyznał:

Wyłożyliście nam całą prawdę o tych mistrzostwach, jak schabowego na talerzu. Skonsumowaliśmy. A co? Mieliśmy prosić kelnera o jakiś inny kotlet?...

W większości meczów rozgrywanych poza granicami kraju niemal zawsze „towarzyszył” naszym reprezentantom i pilnie śledził ich zachowanie (głównie poza boiskiem) etatowy funkcjonariusz bądź tajny współpracownik służb bezpieczeństwa. Mieli „oko” nie tylko na chętnych do „wybrania wolności”, podsłuchiwali wszystkie rozmowy i śledzili kontakty. W Meksyku podwojono „czujność”, było tam aż dwóch takich „opiekunów”. Polityczna piecza nad całością wyprawy spoczywała w rękach pułkownika Adama Pacholczaka z MON-u, notabene od wielu lat działacza społecznego PZPN. Podlegał mu służbowo nikomu bliżej nieznanemu jakiś oficer z MSW. Ustalono, że był on ściśle związany z GKkFiS-em. Węszył wszędzie. Pułkownik nie robił tajemnicy ze „służby” na Mundialu. Chętnie zwierzał się ze swoich spostrzeżeń podczas rozmów korytarzowych w PZPN. Ale czy mówił całą prawdę?

Zabiegaliśmy o utrzymanie właściwego klimatu w ekipie. Szło głównie o to, aby piłkarze i ich najbliżsi opiekunowie zajmowali się wyłącznie sferą sportową mistrzostw i prezentowali lojalną postawę wobec kierownictwa, także osobistą poprawność moralną. Moim zdaniem przedstawiciel MSW był tu zupełnie zbyteczny. Nie politykowano, więc poszukiwał tematów zastępczych. Zawodnicy i działacze wyraźnie go ignorowali. Ja dużo lepiej znałem tych ludzi, przeto wiedziałem kiedy i jak z nimi rozmawiać. W Meksyku było sześciu zawodników z klubów wojskowych, z Legii Warszawa i Śląska Wrocław. Oni mnie najbardziej interesowali...

– Jak na to reagowali?

– Nie dałem powodów, by patrzyli na mnie z podełba. Sytuacja w kraju i w Meksyku była trudna, ale oni tego publicznie nie okazywali. Być może dlatego, że dość dobrze znali mnie z działalności społecznej zarówno w Legii, jak i w PZPN. Nie, kłopotów z zawodnikami nie miałem.

– A z działaczami?...

– O, tu już było znacznie gorzej!... Często popijali, głośno przy tym marudzili... Tematów politycznych jednak unikali. Ochlapusy... Mniej trunkowych sprytnie brali pod włos: – „*Co to z przyjacielem się nie napijesz*”.

– Nie było harmonii w ekipie?

Klimat był kiepski, bo drużyna przegrywała. Niepowodzenie starano się utopić w alkoholu. Kapitan z MSW tego nie rozumiał... Pichcił głupawe raporty! Tych najbardziej trunkowych i kłopotliwych chciał odsyłać do domu. Nawet na mnie szukał haka!

– Tak ostro iskrzyło?...

– Wódka robiła swoje... Rano kac, kłopoty z racjonalnym myśleniem, dobry każdy powód do kłótni... A okazji do „dawania w szyję” było sporo. Gościła miejscowa Polonia, chciały się pokazać władze samorządowe, nawet szeryf Monterrey zapraszał na wysokie stołki.

– Jak pan na to wszystko reagował?

– Staralem się łagodzić wszelkie sprzeczki, nieporozumienia i „wyciszać dyskusje”, skakanie sobie do oczu... Starli się nawet Boniek z Domańskim. Pierwszy – pyskаты, drugi – pryncypialny. Dintojry więc nie było. Targi w ekipie o pieniądze puszczałem mimo uszu...

– Zupełnie inaczej reagowali piłkarze...

– To bardzo różne charaktery, nawyki, przyzwyczajenia... Jedni bez przerwy rżnęli w karty, inni zabawiali się grą w „numerki. Głośni i skorzy do sporów, ale byli i tacy, których z powodzeniem można by posłać do klasztoru. Ciekawy przekrój osobowości. Ale, że to młodzi i zdrowi mężczyźni, prawie wszystkich łączyła pogoń za dupami. Sprowadzali panienki nawet do swoich pokoi...

– Legalnie? Przecież bramy Bahia Escondita były pilnie strzeżone...

– Widać ochrona była bardzo wyrozumiała. Ja też przymykałem oczy... Straż zatrzymała jednak Kazia Deynę. Musiałem interweniować...

– To i „Kaka” tam był?

– Rozmawiał nawet z Piechniczkiem i ubolewał: – „Antek, nie masz w drużynie zawodnika, który wzięłby na siebie ryzyko „niebezpiecznego” podania. Próbuje pięć razy, nie udaje się, ale wreszcie za szóstym razem otwiera kolegom drogę do bramki. Stąd prawie puste siatki!

– Na zewnątrz hotelu było bezpiecznie? Meksyk kojarzy się z westernową scenerią...

– Strzałów na ulicach nie słyszeliśmy. Czuliśmy się więc bezpiecznie. Strzeżli nas ludzie szeryfa.

Meksykańskie mistrzostwa zakończyły się dla naszych piłkarzy dokładnie w połowie czerwca 1986 roku. Przyszły wakacje, lipcowe upały, letnia kanikuła. Żar lejący z nieba niewątpliwie utrudniał logiczne myślenie. Kto się rezolutnie skrył w cieniu przykrych wydarzeń w Meksyku, temu wakacyjna „psia lutnia”

(poeta barokowy Jan Andrzej Morsztyn utożsamiał to z kanikują) specjalnie nie zaszkodziła. W PZPN jednak letniej przerwy nie było. Najpierw sfrustrowani członkowie zarządu milcząco przyjęli rezygnację Antoniego Piechniczka, a potem prezydium ogłosiło (podobno sam prezes wpadł na ten dziwaczny pomysł) wybór nowego selekcjonera z konkursu. Moim faworytem był Wojciech Łazarz. Złożył najlepszą pracę? Nie wiem, ale konkurenci mieli zastrzeżenia. Podobno rozstrzygnięcie padło znacznie wcześniej, niż publicznie je ogłoszono. Wojtek był nie tylko moim faworytem! Miał mocne poparcie w Wydziale Szkolenia.

Po tych kontrowersyjnych decyzjach zaktywizowały się całe plutony faktycznych i okazjonalnych znawców futbolu, ludzi oddanych piłkarstwu i zwykłych koniunkturalistów. Każdy wtrącał tu swoje trzy grosze i usiłował uchodzić nie tylko za znawcę, ale też za zbawcę reprezentacji. Nawet Andrzej Jucewicz, z zamiłowania lekkoatleta, a z chęci rządu w sporcie, prezes – tenisista, sięgnął po pióro i „uszcęśliwił” sympatyków piłkarstwa publikacją książkową „SELEKCJONERZY”. Niewiele było w tym „dziele” autentycznych przemyśleń, ocen autora (bo i skąd?), natomiast moc opinii zapożyczonych od innych autorów. Sporo też było tam moich, ale tylko jeden jedyny raz w całym wydaniu Jucewicz oficjalnie powołał się na moje nazwisko.

... Już na poprzednich mistrzostwach świata w polityce Piechniczka wiele było posunięć przypadkowych, decyzji kadrowych wymuszonych przez wypadki losowe. Piechniczek był w sumie oportunistą, człowiekiem przywiązany do starych nazwisk i wyeksploatowanych zawodników. Niechętnie sięgał po młodych. Dlaczego? – zastanawiał się Andrzej. – Jerzy Lechowski tak widzi ten problem: ... „Dlaczego? Bo z nimi przeżył już sukces na Mundialu w Hiszpanii. Zwykła ludzka słabość, nadmierna dobroć i... przywiązanie. Taka była koncepcja trenera i tylko on, wyłącznie on, za to odpowiada.